



PIOTR KOŚCIELNY

MARA

CRIME

BOOKS

PIOTR KOŚCIELNY

MARA

CRIME

BOOKS

© Copyright by CrimeBooks, Głogów 2026

© Copyright by Piotr Kościelny, Głogów 2026

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Jolanta Adamczak

Skład i łamanie: Studio Grafpa, Grafpa.pl

Projekt graficzny okładki: Katarzyna Zdonek

Druk i oprawa: Drukarnia Abedik S.A.

Wydanie pierwsze: ISBN: 978-83-978335-2-4

Wszystkie postaci i zdarzenia w książce są fikcyjne.

Jakiegolwiek podobieństwo do prawdziwych osób i zdarzeń jest niezamierzone.

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wszystkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej książki w jakiegolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie metodą elektroniczną lub inną powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.



Detektyw Piotr Kościelny

ul. Armii Krajowej 1c/10, 67-200 Głogów

tel. 607 464 934, e-mail: kontakt@piotrkoscielny.com

*Całe życie jest koszmarem sennym (...).
Różnica polega jedynie na tym,
że niektórzy z nas nigdy się nie budzą.*

Graham Masterton, *Krew Manitou*

PROLOG

Głogów, 7 maja 2026 r.

Ciemność nie była pusta. Miała konsystencję gęstego, dusznego śluzu, który oblepiał płuca przy każdym wdechu.

Śniła ten sen po raz kolejny, ale tym razem detale stały się ostre jak świeżo naostrzone brzytwy. Pod stopami czuła chłód betonowej posadzki, choć wiedziała, że tak naprawdę nie ma niczego pod nogami. Była tylko niemym obserwatorem, zawieszonym w próżni świadkiem dramatu, który nie miał prawa się wydarzyć. W centralnym punkcie zimnego pomieszczenia, pod samotną mrugającą świetlówką syczącą jak wąż, stało stare dębowe krzesło. Siedziała na nim kobieta. Jej krzyk był tylko głuchym bulgotem, tłumionym przez szeroką, srebrną taśmę, która wrzynała się w policzki. Oczy ofiary, szeroko otwarte, przekrwione od pękających naczynek, szukały w mroku ratunku. Nie znalazły go jednak. Z cienia wyszedł on. Bez pośpiechu. Poruszał się powoli, z gracją drapieżnika, doskonale zdającego sobie sprawę, że jego ofiara nie ma dokąd uciec. Twarz bez maski. Nie potrzebował jej. Jego skóra w świetle jarzeniówki miała trupi, siny odcień, a oczy... Oczy były

jakby martwe. Puste niczym studnie, w których dawno temu wyschła litość.

Kojarzyła tę twarz, ale nie potrafiła powiedzieć skąd. Mężczyzna podszedł do siedzącej od tyłu. Powoli, niemal czule, położył dłonie na jej szyi. Kobieta drgnęła, jej ciało wygięło się w konwulsyjny łuk, a z gardła wydobył się stłumiony skowyt. On jednak tylko mocniej zacisnął palce. Widziała, jak jego kciuki wbijają się w krtań, jak knykcie bieleją z wysiłku. To nie było szybkie duszenie, lecz celebracja. Patrzył w stojące naprzeciwko lustro, obserwując, jak twarz ofiary zmienia kolor z czerwonego na głęboki fiolet.

– Ciii... – szepnął. Jego głos był gładki niczym jedwab, co w tej scenografii brzmiało bardziej przerażająco niż najgorszy wrzask. – Zaraz będzie po wszystkim. Obiecuję ci to. Spokojnie... Kurwo!

Wtedy coś w nim pękło. Spokój wyparował. Został zastąpiony przez nagły i zupełnie niekontrolowany wybuch pierwotnej nienawiści. Puścił szyję kobiety, ale tylko po to, by zacisnąć dłoń w pięść. Pierwszy cios spadł na jej nos. Odgłos przypominał suchy trzask łamanego chrustu. Krew natychmiast splamiła jasną sukienkę.

– Myślałaś, że jesteś wyjątkowa? – warknął, a jego twarz wykrzywił niehumaniczny grymas. – Myślałaś, że możesz być Heleną?!

Kolejny cios trafił w oczodół. Następny w szczękę. Rytmiczne, ciężkie uderzenia zakłócały ciszę piwnicy. On jednak nie przestawał. Bił z furii, która wykraczała poza chęć zabicia. Pragnął zmienić tę twarz w krwawą miazgę, w bezkształtną breję mięsa i odłamków kości.

Kobieta chciała krzyczeć, ale nie mogła. Nawet gdyby nie była zakneblowana, jej gardło wypełniał popiół. Patrzyła, jak agresor, ciężko dysząc, sięga po ciężki, metalowy łom leżący na pobliskim stole. Uniósł go wysoko nad głowę. W tym momencie świetlówka na ułamek sekundy przestała mrugać i oświetliła go w pełnej krasie. Zobaczyła to. Na jego lewym nadgarstku, tuż pod krawędzią podwiniętego rękawa, widniał tatuaż. Mały, czarny symbol przypominający pęknięte ogniwo łańcucha.

Spojrzała ponownie na jego twarz. Widziała na niej triumfalny grymas. Jadowity uśmiech wieńczący okrutne dzieło. Chwilę później łom uderzył w czaszkę kobiety. W pomieszczeniu rozległ się dziki wrzask mordercy.

Wizja zgasła gwałtownie, tak jakby ktoś przeciął kabel zasilający projektor. Jednak dźwięk miażdżenia kości wciąż odbijał się echem od ścian.

Maja szarpnęła się na łóżku; jej ciało zareagowało szybciej niż świadomość. Odrzuciła pościel, mokrą od zimnego potu, i wylądowała na kolanach na twardych panelach. Powietrze w sypialni było gęste, cuchnęło przetrawionym lękiem i stęchlizną niewietrzonego od kilku dni pokoju. Próbowwała zaczerpnąć tchu, ale jej klatka piersiowa była jak zaciśnięta w imadle. Każdy wdech piekł, jakby wciągała do płuc sproszkowane szkło.

– To tylko sen. To tylko cholerny sen... – wycharczała w ciemność, ale jej własny głos dla niej samej brzmiał obco.

Poczuła falę mdłości wzbierającą w przelyku. Nie zdążyła do łazienki. Zwymiotowała tuż przy krawędzi dywanu żółcią i resztkami wczorajszej kolacji. Zaciśnęła

dłonie na krawędzi łóżka, wbijając paznokcie w materac, a jej ciało drżało w niekontrolowanych drgawkach. W głowie wciąż pulsował obraz tej twarzy. Tęgo uśmiechu. Znała tę twarz. Kiedyś już ją widziała. Przed oczami miała tatuaż z pękniętym ogniwnem. Wzór wypalił się pod jej powiekami jak powidok po zbyt długim patrzeniu w słońce.

Na stoliku nocnym wymacała lampkę. Pstryknięcie włącznika było ogłuszające. Ostre, białe światło uderzyło w źrenice, wywołując niemal fizyczny ból. Maja rozejrzała się uważnie po pokoju, szukając jakiegokolwiek dowodu na to, że świat wciąż jest normalny. Ale nic już nie było takie samo. Na podłodze leżały porozrzucone opakowania po lekach, puste blistry po Efecinie i karton z niedojedzoną pizzą, na której zakwitła już pleśń. To było jej królestwo. Królestwo dziewczyny, która zaledwie dwa miesiące temu próbowała podciąć sobie żyły tępym nożem do masła, a teraz budziła się z potwornymi wizjami morderstw, od których włos jeżył się na głowie.

Wstała z podłogi i zrobiła kilka kroków. Chwiała się na nogach, jakby była pijana. Podeszła do lustra w przedpokoju. W tafli szkła ujrzała wrak człowieka. Jej twarz była blada, niemal przezroczysta, a pod oczami odznaczały się sine podkowy świadczące o tygodniach walki z bezsennością. Dotknęła szyi dokładnie w miejscu, w którym we śnie morderca zaciskał dłonie na szyi swojej ofiary. Przez moment wydawało się jej, że czuje jego palce.

- Przestań - syknęła do swojego odbicia. - To chemia. To tylko pierdolona chemia w mózgu. Za dużo prochów.

Weszła pod prysznic i odkręciła kurek z lodowatą wodą, licząc na to, że szok termiczny wypłucze z niej resztki koszmaru. Stała pod strumieniem tak długo, aż jej skóra zrobiła się czerwona i odrętwiała, a zęby zaczęły dzwonić. Myła się agresywnie, szorując ciało szorstką gąbką, jakby chciała zedrzeć z siebie nie tylko brud, ale i wspomnienie tamtego snu. Widziała, jak woda przedostaje się do odpływu, i wyobrażała sobie, że to krew tamtej. Brunetki w jasnej sukience. Kobiety, której twarz przestała istnieć pod gradem zadanych ciosów.

Zamknęła oczy, ale zaraz je otworzyła. W ciemności znów zobaczyła metalowy łom unoszący się nad głową tej kobiety. To było przerażające. Wyszła z łazienki, owinięta w szorstki ręcznik. W kuchni zaparzyła czarną kawę, tak mocną, że aż wykręcała żołądek. Ręce wciąż jej drżały, gdy sięgała po telefon. Na ekranie świeciło powiadomienie z aplikacji randkowej.

Artur: Dzień dobry. Pamiętasz o dzisiejszej kawie o siedemnastej? Nie mogę się doczekać, kiedy Cię poznam.

Patrzyła na te słowa, a w jej brzuchu zaciskał się węzeł. Chciała odpisać, że niestety jest zmuszona zrezygnować. Że jest chora. Że jest wariatką, która nad ranem rzyga z powodu snów o rzezi. Ale potem przypomniała sobie słowa terapeutki: „Musi pani zacząć wracać do ludzi, Maju. Małe kroki. Randka to tylko i wyłącznie kawa. Nic pani nie grozi”.

– Nic mi nie grozi – powtórzyła na głos i po chwili się zaśmiała.

Jej śmiech brzmiał jednak jak pęknięcie suchego lodu. Spojrzała na leżący na blacie nóż kuchenny. Przyciągał

ją. Przez moment ostrze lśniło w porannym słońcu, rzucając długi, ostry cień na ścianę. Popatrzyła na swoje nadgarstki i blizny po nacięciach. Chciała chwycić narzędzie i sfinalizować to, czego wtedy nie skończyła. Wzdrygnęła się i po chwili odwróciła wzrok, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że ten dzień jest początkiem czegoś, z czego nie da się już wyjść cało.

Komisarz Wojciech Grot z wydziału kryminalnego Komendy Powiatowej Policji w Głogowie nienawidził zapachu gumy do żucia o smaku owocowym, a właśnie tym przesiąknięty był jego stary służbowy Fiat Punto. Wczoraj autem jeździł aspirant Michał Kruszewski. Grot nie darzył go szczególną sympatią. Młody policjant miał problem z agresją. Często wykorzystywał swoją funkcję, by bez powodów nękać ludzi. Gdy tylko widział grupkę młodzieży stojącą przed sklepem albo wejściem do klatki, od razu przystępował do czynności. Raz ponoć nawet specjalnie podrzucił małodatom prochy, by móc ich potem zatrzymać. Podczas przesłuchań też się nie hamował i potrafił mocniej szturchnąć delikwenta. O dziwo, jak dotąd nikt nie złożył na niego oficjalnej skargi. Grot podejrzewał, że Kruszewskiemu zdarza się zażywać narkotyki. Kiedyś z kieszeni wypadł mu woreczek strunowy z białym proszkiem. Michał podniósł go i bez cienia zmieszania schował z powrotem. Komisarz nikomu tego nie zgłosił, bo nie chciał wyjść na kapusia. Liczył, że przełożeni kiedyś sami się zorientują w sytuacji. Wspominał o tym jedynie Nowakowi, ale partner machnął ręką i stwierdził, że lepiej się nie wtrącać w nie swoje sprawy.

Teraz Grot siedział na parkingu przy Armii Krajowej i gapił się na neon zamkniętej Żabki. Było druga w nocy. W radiu trzeszczały komunikaty, ale żaden z nich nie dotyczył jego obecnej sprawy. Głogów nie był metropolią, tutejszy wydział kryminalny nie zajmował się na co dzień seryjnymi mordercami. Właściwie w ogóle się nimi nie zajmował. Tutaj słowo „przestępczość” pisano przez małe „p”. Chlebem powszednim kryminalnych były kradzieże miedzi ze składowisk hutniczych, domowe awantury na osiedlu Kopernik i sporadyczne włamania do aut na Piastach. Zdarzały się oczywiście także wtargnięcia na ogródki działkowe i do piwnic, mniej poważne jednak były kradzieże słoików z przetworami.

Ostatnio sen z powiek spędzała Grotowi seria zuchowałych kradzieży specjalistycznego sprzętu z terenu budów w mieście i w okolicznych wioskach. Ktoś wywoził maszyny, które następnie w magiczny sposób znikają. Miejski monitoring zarejestrował kilka takich transportów, ale tablice rejestracyjne lawet także były kradzione. Komisarz czuł, że to robota kogoś spoza miasta. Z tego, co udało mu się ustalić, podobne kradzieże miały miejsce w zeszłym roku we Wrocławiu. Był przekonany, że tamtejsza grupa złodziei współpracuje z kimś z Głogowa, choć nie miał na to dowodów.

Czekał właśnie na swojego informatora. Miał nadzieję, że dzięki niemu wkrótce uda im się złapać przestępców. Spojrzał w bok. Od strony Netto zmierzał jego człowiek. Grot wysiadł z samochodu i zapalił papierosa, już trzeciego, odkąd tu zaparkował. Doskonale pamiętał dzień, kiedy przekonał Adama Woźniaka – ksywa Patyk – do współpracy. Ten drobny złodziejaszek i pijak włamał się

do osiedlowego sklepu. Podczas pakowania lupu zaczął pić wódkę, którą oczywiście też zwinął z półki. W pewnym momencie był już tak pijany, że zwyczajnie zasnął nad torbami pełnymi kawy, słodczy i alkoholu. Patrol, który przyjechał na miejsce włamania, zastał go chrapiącego obok wejścia. Gdy Woźniak wytrzeźwiał, trafił na przesłuchanie przed oblicze Grotą. To wtedy komisarz obiecał mu łagodniejszy wyrok w zamian za współpracę. Patyk zgodził się bez wahania. Od tamtej pory minęło prawie osiem lat, a on regularnie dostarczał Grotowi informacje.

– Cześć – rzucił Adam, podchodząc do Punto.

– Masz coś dla mnie? – Komisarz od razu przeszedł do sedna.

Informator rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt ich nie słyszy. Na ulicy o tej porze nie było jednak żywej duszy.

– Suchar ostatnio mi mówił, że zbiera ekipę, by obrobić Dino na Rudnowskiej.

– Jak obrobić Dino? Przecież tam są kamery i alarm. – Grot nie wierzył własnym uszom.

– Suchar ma kumpla, który pracuje w tym sklepie, i ten obiecał, że nie włączy alarmu. Powiedział też, że mają brać alkohol i kasę z zaplecza. Tam jest sejf ze sporą kwotą.

Grot uśmiechnął się pod nosem. Suchar nie pomyślał, że po takim włamaniu śledczy od razu sprawdzą dlaczego alarm w markecie nie był włączony. Jego kompan wpadnie jak śliwka w kompot, a jak zostanie przyciśnięty, z miejsca wsypie wszystkich współników.

– A kiedy ma być ten skok? – spytał.

– Jak Suchar znajdzie ludzi. Plany mają chyba na kolejną sobotę. W niedzielę sklep jest nieczynny, więc dopiero w poniedziałek odkryją włam.

– Dobra. Gub się – rzucił Grot i zgasił papierosa o murek.

– A nie dostanę jakiejś drobnej sumki?

– To nie Provident.

– Ale jakaś należność za takie informacje chyba się należy.

– Dzisiaj nie mam. Może następnym razem – powiedział Grot i otworzył drzwi samochodu.

1.

Głogów, 7 maja 2026 r.

Kawa była gorzka, spalona, ale Maja piła ją łapczywie, tak jakby kofeina mogła wypalić resztki onirycznej mazi z jej mózgu. Odstawiła kubek na blat z takim impetem, że ciemny płyn zachlapał białe kafelki. Patrzyła na plamę i przez ułamek sekundy widziała w niej kształt roztrzaskanej czaszki. Przeklęła pod nosem, wycierając brud nerwowym, szarpanym ruchem. Była czwarta rano. Zawsze wstawiała o tej porze i zaczynała rytuał sprawdzania. To jej prywatne natręctwo, które psychiatra nazywał mechanizmem obronnym, a dla niej było po prostu sposobem na przetrwanie. Podeszła do drzwi wejściowych. Nacisnęła klamkę raz, drugi, trzeci. Sprawdziła górny zamek, potem dolny, a na koniec jeszcze łańcuch. Metaliczny szczepek uderzający o futrynę dawał jej krótką, sekundową ulgę. Potem okna. Przeszła przez całe mieszkanie, dociskając klamki w salonie i kuchni, choć mieszkała na czwartym piętrze i nikt nie miał prawa się tu dostać. A jednak Kamil się dostał. Pół roku temu, dwa tygodnie po tym, gdy wyrzuciła go z domu, znalazła chłopaka siedzącego w ciemności przy kuchennym stole. Nie włamał się. Po prostu nigdy nie oddał

zapasowego klucza, o którym ona zapomniała. Wspomnienie tamtej nocy uderzyło z siłą fizycznego ciosu. Kamil nie był mordercą z jej snu, był innym rodzajem potwora. Tym, który nie masakruje twarzy pięściami ani łomem, ale miazdzy duszę słowami.

– Jesteś niczym bez moich pieniędzy... Nikt cię nie zechce z tymi bliznami... Jesteś emocjonalnym wrakiem... Maju, powinni cię zamknąć dla twojego własnego dobra...

Kiedy tamtej nocy próbowała go wygonić, chwycił ją za nadgarstki tak mocno, że siniaki nie zeszły przez kolejny miesiąc. To właśnie wtedy, patrząc na jego wykrzywioną wściekłością twarz, zrozumiała, że jedynym sposobem, by go uciszyć, jest uciszenie samej siebie. Przesunęła dłonią po lewym przedramieniu. Pod palcami wyczuła nierówną teksturę blizn – białych, lśniących i twardych jak plastik. Pamiątka po nocy, gdy wanna wypełniła się różową wodą, a ona czuła tylko błogą senność. A potem sąsiadka z dołu, zaalarmowana mokrą plamą na suficie, wezwwała ślusarza i pogotowie.

– Pierdoli się, Kamil – szepnęła Maja w pustkę mieszkania.

Ale on wciąż tu był. W każdym kącie, w każdym jej lęku przed dotykiem, w każdej tabletce, którą musiała łykać, by nie czuć, jak jej serce próbuje wyrwać się z klatki piersiowej. To przez niego policja traktowała ją jak „przypadek”. Kiedy zgłosiła w komendzie, że ją nęka, dzielnicowy spojrzał na nią, potem przeniósł wzrok na jej kartotekę medyczną, którą mu udostępniła i zapytał z protekcyjnym uśmiechem:

– A czy na pewno pan Kamil panią śledzi, czy może tylko... ma pani gorszy dzień? Może po prostu za dużo pani myśli?

Nic mu nie odpowiedziała. Wróciła wtedy do domu, zasłoniła okna i rzuciła się na łóżko. Przeplakała całą noc.

Gdy wszystko sprawdziła, wróciła do sypialni. Jej paranoja karmiła się ciszą. Każde skrzypnięcie podłogi u sąsiada, każdy trzask stygnącego kaloryfera, każdy dźwięk dochodzący z zewnątrz były sygnałami alarmowymi. Usiadła na łóżku i zaczęła nerwowo drapać skórę wokół paznokci, aż do krwi. Jej umysł analizował ostatni sen. To nie był zwykły koszmar. Sny po lekach psychotropowych bywają dziwne, kolorowe, czasem przerażające, ale ten był... inny. Miał strukturę wspomnienia. Zapach tej piwnicy – mieszanka stęchlizny, mokrego betonu i czegoś słodkiego jak gnijące owoce – wciąż tkwił w jej nozdrzach. Ofiara. Ta dziewczyna. Widziała jej oczy. W brązowych tęczęwkach migotały drobinki złota. Skąd mogła znać taki detal? Nigdy wcześniej nie widziała tej kobiety. A jednak czuła wobec niej dziwną potrzebę lojalności, jakby fakt, że była świadkiem jej śmierci, nakładał na nią jakiś makabryczny obowiązek. Zaczęła się zastanawiać, czy to możliwe, że jej choroba weszła na nowy poziom. Czy to już psychoza? Schizofrenia? Czy jej mózg, zmęczony nienawiścią do samej siebie, zaczął generować obrazy tak drastyczne, by odwrócić uwagę od codziennego bólu? Spojrzała na telefon i jeszcze raz przeczytała wiadomość od Artura.

– To tylko randka – powiedziała do siebie, próbując opanować drżenie nóg. – Pójdiesz tam, wypijesz kawę i przekonasz się, że to zwykły facet z nadwagą, krzywym zgryzem albo kiepskim poczuciem humoru. Posiedzisz z nim chwilkę, a potem wrócisz spokojnie do domu. Żadnych trupów. Żadnych seryjnych morderców.

Wstała i podeszła do szafy. Musiała wybrać zbroję. Coś, co sprawi, że będzie wyglądać na normalną, zdrową kobietę, która nie rzygała godzinę temu z przerażenia. Ale gdy tylko dotknęła wieszaków, w głowie znów usłyszała ten dźwięk. Trzask łamanej kości nosowej. Zgięła się wpół i chwyciła obiema rękoma za brzuch. Paranoja szeptała jej do ucha, że randka to tylko przyjęta. Że świat na zewnątrz to polowanie, a ona właśnie dobrowolnie zgłosiła się do roli ofiary. Mimo to chwyciła czarną sukienkę. Musiała wyjść. Bo jeśli zostanie w domu jeszcze jeden dzień, te ściany w końcu ją zmiażdżą.

Grot zaparkował na Orlenie koło basenu i wysiadł z auta. Odszedł kawalek, zapalił papierosa i spojrzał na jadące drogą samochody.

Pomimo późnej pory miasto nie spało. A przecież Głogów nie był metropolią i nocą powinien tu być spokój. Komisarz przypomniał sobie lata, kiedy służył we Wrocławiu. Tam roboty było co nie miara. Każdego dnia do jego wydziału trafiało kilkanaście nowych spraw – zabójstwa, gwałty, pobicia, rozboje... W pewnym momencie dopadło go wypalenie. Zdecydował się na zmianę środowiska. We Wrocławiu w sumie nic go nie trzymało. Matka zmarła kilka lat wcześniej. Ojciec, też gliniarz, odszedł do kochanki i nie utrzymywał kontaktu z synem. Z dalszą rodziną Wojtek nie miał szczególnych relacji. Kuzyni zachowywali się tak, jakby się go wstydzili. Nie narzucał się nikomu ze swoim towarzystwem. Opuścił. Zwyczajnie mu się nie chciało.

Głógów był przypadkowym wyborem. Po przeprowadzce od razu rzucił się w wir pracy. Szybko zaskoczył go jej charakter. Jego pierwsza sprawa dotyczyła kradzieży roweru z bloku przy Perseusza. Sprawcę ustalił już po godzinie. Pomógł mu w tym dzielnicowy, informując, że w wieżowcu mieszka wielokrotnie notowany złodziej. Wystarczyło jedno przesłuchanie, żeby rower został odnaleziony. Złodziej się przyznał, a dodatkowo wskazał pasera, któremu sprzedał jednośląd.

Przez te lata Grot miał zaledwie siedem spraw związanych z pozbawieniem kogoś życia; we Wrocławiu czasami zdarzało się tyle w jeden weekend. Przypomniawsobie pierwsze zabójstwo w Głogowie, przy którym pracował. W mieszkaniu przy Morcinka znaleziono zwłoki kobiety. Miała osiem ran kłutych. Starsza siostra denatki, Teresa Wolińska, która ujawniła ciało, stwierdziła, że przez ostatni rok nie miała z nią żadnego kontaktu. Powodem był nowy partner Alicji, niepracujący pijaczyna mieszkający po sąsiedzku. Przekonywała ją, że to zły wybór, jednak ta świata poza Romkiem nie widziała. Dzień przed śmiercią siostry umówiły się na prośbę Alicji na spotkanie. Gdy Teresa pojawiła się na Morcinka, zaniepokoiły ją lekko uchylone drzwi do mieszkania siostry. Pchnęła je, a wszedłszy do środka, zobaczyła kobietę leżącą w kuchni w kałuży krwi. Na ratunek było już za późno. Kiedy wezwany na miejsce Grot rozpytał sąsiadów, z zaskoczeniem zauważył, że śmierć ta nie zrobiła na nich większego wrażenia. Szybko zorientował się czemu. Wszyscy tu znali Romka z jak najgorszej strony i nie rozumieli, dlaczego Alicja się z nim związała. Wielokrotnie powtarzali jej, że popełnia błąd, który może być tragiczny w skutkach. Ona jednak ich nie

sluchala, malo tego – skonfliktowala sie praktycznie ze wszystkimi tutaj. Komisarz znalazl zabojce w sasiednim bloku. Roman Żernicki siedzial u kolegi, gdzie wspólnie spozywali alkohol. Nie byl zaskoczony, gdy Grot wraz z dwoma mundurowymi wszedl do mieszkania. Podczas przesluchania męczyzna zeznal, ze Alicja od kilku dni narzekala, ze nie doklada sie on do czynszu. Ale przeciez mial na utrzymaniu lokal, w którym mieszkal wraz z matka, a bez stalego dochodu nie stac go bylo, by oplacac az dwa mieszkania. Zaczal sie nawet pakowac, udajac, ze zamierza sie wyprowadzic. Wtedy Alicja padla na kolana i zaczela go blagac, by jej nie zostawial. Dal sie uprosic. Jednak juz nastepnego ranka kobieta znowu miala do niego pretensje. Zaczela narzekac, ze pije i nie interesuje sie domem. Od slowa do slowa rozgorzala awantura. Wyszedl z domu, trzaskajac w gniewie drzwiami. Nie minal kwadrans, jak zaczela do niego dzwonic. Nie odbieral. Na esemesy nie odpowiadal. Dwa dni ja tak ignorowal. W koncu w dniu zabojstwa wroutil. Przepraszala go i blagala o wybaczenie. Czul sie panem sytuacji. Wiedzial, ze ma nad nia wladze. Jednak gdy poszedl do toalety, Alicja siegnela po jego komorkę. Znalazla w niej korespondencje, która prowadzil z dawną koleżanką ze szkoły. Nie mieli romansu, ale ostro flirtowali. Alicja nie chciala sluchac jego tłumaczen. Byla wsciekla. Gdy go spoliczkowala, nie namyslal sie dlugo. Siegnal po lezacy na stole noz i wbil jej go w klatke piersiowa. Po chwili ponowil uderzenie. Potem juz nie liczyl ciosow. Kiedy ochlonal, chcial upozorowac atak szaleńca, ale po namysle stwierdzil, ze to nic nie da. Poszedl do kolegi napić sie wódki. Tam zastal go Grot.

Łazienka była mała, duszna i oświetlona trupioblady m światłem energooszczędnej żarówki, która brzęczała ci-cho, irytująco wbijając się w jej mózg. Maja stała przed lustrem, czując na skórze wilgoć po prysznicu, która powoli zamieniała się w chłodny lepki film. Musiała stać się kimś innym. Kimś, kto nie ma pod powiekami zmielonego mięsa i czyjejś pogruchotanej czaszki. Za-częła od twarzy. Nałożyła bazę, potem grubą warstwę mocno kryjącego podkładu. Wklepywała go gąbeczką z taką furją, jakby tynkowała pęknięcia w starej, rozpa-dającej się ścianie. Każdy ruch musiał być precyzyjny. Cel: ukryć sińce pod oczami; zamaskować nienatural-ną bladość, która sprawiała, że wyglądała jak pacjentka oddziału onkologicznego albo ktoś, kto właśnie wrócił z tamtego świata. A przecież dokładnie tam była.

Kiedy sięgała po korektor, jej telefon zawibrował gwałtownie na krawędzi umywalki. Dźwięk przypo-minał serię z pistoletu. Maja drgnęła, a smuga czarne-go tuszu do rzęs przecięła jej policzek jak brudna ła.

– Kurwa! – syknęła, rzucając szczoteczkę do umywalki.

Na ekranie wyświetliło się zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny z kolorowym drinkiem w dłoni. Gośka. Jedyna osoba, która nie przestała odbierać od niej te-lefonów po incydencie z wanną. Jedyna, która nie pa-trzyła na nią z tą obrzydliwą mieszkanką litości i strachu.

– No, cześć. – Maja odebrała i docisnęła telefon ra-mieniem do ucha, jednocześnie próbując zetrzeć tusz z policzka.

– Żyjesz, słońce? Czy mam już dzwonić po śmie-ciarke? – Głos Gośki był jak zwykle zbyt głośny, zbyt

radosny i przesiąknięty specyficznym knajpianym humorem.

– Żyję. Ledwo, ale żyję – mruknęła Maja, patrząc na swoje odbicie. – Właśnie próbuję doprowadzić się do stanu używalności. Z naciskiem na próbuję.

– I jak idzie? Wyglądasz jak milion dolarów czy raczej jak ofiara potrącenia przez autobus?

– Bliżej mi do pociągu niż do autobusu. Gośka, znowu miałam ten sen. Tylko gorszy, dużo gorszy.

W słuchawce zapadła krótka cisza. Maja słyszała szum ulicy w tle, jakiś odległy klakson. Życie toczyło się normalnie, podczas gdy ona gniła w środku.

– Maja, słuchaj mnie uważnie. – Gośka spoważniała, choć wciąż brzmiała jak ktoś, kto stoi na twardym gruncie. – Uważam, że to przez te twoje prochy. Bierzesz to głównie na depresję, a ono fest ryje banię. Mój brat po odstawieniu benzo widział krasnoludki wypruwające mu kable ze ścian. Ty widzisz thrillery. Ale tak naprawdę to tylko twój mózg stara się wypluć cały ten syf, który zafundował ci Kamil. Kumas?

– Gośka, to nie był jedynie sen. To było tak kurewsko realne, że czułam zapach krwi. Słyszałam, jak trzaskają jej kości. Widziałam faceta... kurwa, widziałam go tak wyraźnie, że mogłabym go narysować. Miał tatuaż. Pęknięte ogniwo łańcucha na nadgarstku.

– Dobra, słuchaj. Idziesz dzisiaj na tę randkę, zgadza się? Ten Artur, czy jak mu tam, jest twoim biletem do normalności. Masz wypić dwie margarity i dać mu się złapać za kolano, oczywiście jeśli nie okaże się jakimś psycholem lub stulejarzem. Potem masz wrócić do domu z uśmiechem na tym ładnym pyszczku. Tylko pamiętaj,

nie opowiadaj mu o swoich snach, masakrach ani o tym, że twój ex to zwykły kawał chuja. Udawaj, że jesteś najnudniejszą dziewczyną na świecie, która kocha jogę i jarmuż. Jasne?

Maja westchnęła, przymykając oczy. Chciała wierzyć Goście. Chciała wierzyć, że świat jest tak prosty, jak widziała go jej przyjaciółka.

– Jasne. Nudna dziewczyna od jogi i jarmużu. Postaram się – powiedziała jak automat.

– Kocham cię, wariatko. Zadzwon po wszystkim. Jeśli nie dasz znaku życia do północy, uznam, że albo uprawiasz seks życia, albo leżysz w rowie. W obu przypadkach będę zazdrosna. Pa!

Gośka się rozłączyła. Maja została sam na sam z lustrowanym odbiciem, które dzięki warstwom tapety wyglądało niemal na żywe. Ale dłonie wciąż jej drżały.

Sięgnęła po sukienkę, która wisiała obok prysznicza. Czarną, prostą, z grubszego materiału, który się nie gniótł, dając złudzenie solidności. Wciągnęła ją przez głowę, czując, jak tkanina opina jej ciało. Przez chwilę walczyła z suwakiem na plecach, a jej oddech znów zaczął się rwać. Wyobraziła sobie, że to nie zamek błyskawiczny, ale czyjeś dłonie zaciskające się na jej kręgosłupie. *Przestań. Przestań. Przestań* – powtarzała w myślach jak mantrę.

Chwyciła się za głowę i mocno zacisnęła powieki. Po kilkunastu sekundach uspokoiła się na tyle, żeby wyjść do przedpokoju. Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze ponad czterdzieści minut. Za dużo czasu na myślenie, za mało na to, by poczuć się lepiej. Wzięła torebkę i sprawdziła trzy razy, czy jest w niej gaz

pieprzowy – pamiątka po czasach z Kamilem. Był. Po-deszła do drzwi. Jej palce zawisły nad klamką. Przez chwilę stała nieruchomo, nasłuchując odgłosów z klatki schodowej. Czy ktoś tam stoi? Czy ten cień pod drzwiami to tylko kurz, czy może ktoś przykładą ucho do futryny? Paranoja karmiąca się sennym koszmarem podpowiadała jej, że gdy tylko otworzy drzwi, nie zobaczy klatki schodowej, ale betonowe schody prowadzące prosto do tamtej piwnicy. Zacisnęła zęby, przekręciła klucz i pchnęła drzwi.

Klatka była pusta. Pachniała mokrym psem i dymem papierosowym sączącym się z mieszkania sąsiada z parteru. Maja wyszła na zewnątrz, zamykając za sobą zamek na dwa obroty. Każdy krok po schodach był walką z grawitacją i chęcią ucieczki pod kołdrę. Wyszła na ulicę. Głogów powitał ją brudnym, popołudniowym słońcem, które nie dawało ciepła, a jedynie podkreślało wszechobecny kurz. Ludzie mijali ją w pośpiechu, anonimowi, szarzy, zajęci swoimi sprawami. Nikt nie wiedział, że dziewczyna w czarnej sukience niesie w głowie obraz rzeźni.

Powoli szła w stronę przystanku, czując, jak gaz pieprzowy w torebce obija się o jej biodro. To był talizman, jedyna rzecz, która oddzielała ją od stania się kolejną bezkształtną masą mięsa z jej własnych snów.

Grot pamiętał jeszcze jedną sprawę związaną z pozbawieniem kogoś życia. Dostali wezwanie do podgłogowskich Szczyglic. Nieopodal świetlicy znaleziono zwłoki mieszkańca pobliskiego Turowa. Denat miał widoczne

ślady pobicia. Bezpośrednią przyczyną zgonu było uderzenie w głowę kamieniem, który znaleziono w pobliżu ciała. Zamordowany mężczyzna miał opuszczone do kolan spodnie wraz z bielizną. W jego odbycie tkwił trzonek siekiery.

Na miejsce zbrodni komisarz pojechał z Nowakiem. Z góry przyjęli, że tej makabrycznej zbrodni dokonał ktoś, kto miał zatarg z denatem. Ustalenie tożsamości ofiary nie było skomplikowane. Podobnie jak tożsamości sprawcy – Wiktor Szostak sam się zgłosił do głogowskiej komendy. Podczas przesłuchania zeznał, że zabójstwa dokonał w ramach zemsty. Tomasz Kobza – denat – wcześniej brutalnie zgwałcił jego dziesięcioletnią córkę. Szostak nie poszedł z tym na policję, ale zaczął się na gwałciciela w pobliżu drogi. Wiedział, że pedofil, mieszkaniec sąsiedniej wioski, każdego dnia wraca tą trasą z Głogowa. Zaatakował go znienacka i zaciągnął w poblize świetlicy. Tam kilka razy uderzył go pięściami. Potem zdjął mu spodnie i wcisnął w odbyt trzonek od siekiery, który uprzednio zabrał z domu. Żeby Kobza nie krzyczał, wsadził mu w usta szmatę. Na koniec kilkakrotnie uderzył go znalezionym tuż obok kamieniem. Po wszystkim wrócił do domu. Wyrzuty sumienia nie dawały mu jednak spokoju, dlatego już następnego dnia postanowił zgłosić się na głogowską komendę.

Grot współczuł mężczyźnie, ale musiał wykonać niezbędne czynności. Prokurator postawił zarzut zabójstwa i zapowiedział, że będzie wnioskował o dożywocie. Komisarz do końca swoich dni nie zapomni zapłakanej twarzy córki Szostaka, gdy ta pojawiła się z matką

przed komendą. W tamtej chwili był przekonany, że w pewnych sytuacjach wymiar sprawiedliwości powinien jednak przymknąć oko. Dziesięciolatka przeżyła jedną tragedię, gdy została zgwałcona, a drugą – kiedy jej ojciec trafił do więzienia. Policjant jednak nie mógł zrobić. Miał stać na straży prawa, a rozterki moralne musiał zostawić dla siebie.

Przystanek autobusowy przy Łokietka był przedsiönkiem piekła. Powietrze wibrowało od odgłosów silników samochodów jadących ulicą. Maja stała pod wiatą, czując, jak każda wibracja podłoża przenosi się na jej kręgosłup. Otaczał ją świat zbyt głośny, zbyt jasny i zbyt brudny. Czuła się, jakby ktoś zdjął z niej skórę i kazał iść przez miasto pełne ostrych krawędzi. W końcu podjechała ósemka. Metalowy potwór zatrzymał się z piskliwym jękiem hamulców wbijającym się w uszy niczym wiertło. Weszła do środka i usiadła na tyłach przy oknie pokrytym warstwą miejskiego osadu i starych naklejek, których nikt nie potrafił, a może zwyczajnie nie chciał odkleić. Autobus ruszył.

Maja wyjęła telefon. Otworzyła aplikację randkową i weszła w korespondencję. Liczyła na to, że mężczyzna odwoła spotkanie. Wtedy bez wyrzutów sumienia będzie mogła wrócić do domu. Artur nie miał zdjęcia profilowego. Tłumaczył, że jego szefostwu nie spodobałoby się, że ogłasza się w sieci. Z nudów przejrzała kilka kolejnych profili. Zatrzymała się na jednym z nich. Mirek z Polkowic, lat trzydzieści pięć, był przystojnym blondynem. Idealnie wpasował się w jej typ. Oczywiście jeśli

miała jakiś typ. Patrzyła na jego zdjęcie tak długo, aż piksele zaczęły tańczyć jej przed oczami. Miał na sobie niebieską koszulę i stał na tle jakiegoś parku. Uśmiechał się, ale to był ten rodzaj uśmiechu, który nie angażuje oczu. Te, na które patrzyła, były spokojne. Zbyt spokojne. Przymknęła powieki, a gdy po chwili znów spojrzała na ekran, zamarła. Mirek wyglądał teraz jak facet z jej koszmaru. Czy to był ten sam człowiek? Próbowала nałożyć obraz ze snu na to cyfrowe zdjęcie. We śnie morderca był spocony. Jego twarz wykrzywiała furia, krew tryskała na policzki jak czerwone konfetti. Tutaj... tutaj był po prostu Mirkiem, fanem piwa kraftowego i wycieczek rowerowych.

– Nie, to nie on. To nie może być on – szepnęła, opierając czoło o zimną szybę.

Nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. Podniosła głowę. Kilka miejsc dalej siedział bezdomny mężczyzna w brudnej ortalionowej kurtce. Gapił się na nią bez skrzępowania, mieląc coś w ustach. Maja poczuła, jak żołądek wywraca jej się na lewą stronę. Czy on wiedział? Czy dostrzegł na jej twarzy piętno wariatki? A może widział krew, której ona nie potrafiła domyć? Odwróciła wzrok, ale kropla paranoi już zaczęła drążyć kamień. Każdy pasażer wydawał się potencjalnym zagrożeniem: chłopak w kapturze, który nerwowo stukał stopą o podłogę; starszka ściskająca torbę tak mocno, jakby miała w niej odciętą głowę. Miasto za oknem przesunęło się w jednostajnym rytmie. Głogowskie bloki wyglądały jak rzędy wybitych zębów. Maja czuła, że traci kontakt z rzeczywistością. Koszmar zaczął przeciekać do rzeczywistości. Cienie w bramach wydawały się nienaturalnie długie,

a czerwone światła sygnalizacji przypominały blask krwi na jasnej sukience ofiary.

Jasna sukienka. Ofiara miała jasną sukienkę. Bawełnianą. Z plamami krwi układającymi się w bukiet kwiatów – pomyślała. Skąd to wiedziała? We śnie obraz był rozmazany, chaotyczny. A jednak teraz, w autobusie jadącym przy stadionie Chrobrego, przypominała sobie detale, których nie powinna znać. Pamiętała zapach perfum kobiety. Tanie, kwiatowe nuty, które mieszały się z wonią miedzi i potu. Pamiętała fakturę taśmy klejącej na ustach ofiary.

Wyciągnęła gaz pieprzowy z torebki, przełożyła do kieszeni płaszcza i zacisnęła palce na pojemniku. Chłód metalu był jedyną rzeczą, która kotwiczyła ją w teraźniejszości. Kiedy autobus zatrzymał się na jej przystanku, wyskoczyła tak szybko, że omal nie potknęła się na stopniu. Do kawiarni na Parafialnej było zaledwie dwieście metrów. Dwieście metrów przez otwartą przestrzeń, gdzie czuła się jak zwierzyzna wystawiona na ostrzał. Niemal biegła, ignorując spojrzenia przechodniów. Serce waliło jej o żebra jak uwięziony ptak. Gdy stanęła przed szklanymi drzwiami lokalu Zbrodnia i kawa – ironia nazwy uderzyła ją dopiero po chwili – zawahała się. Przez szybę widziała wewnątrz kawiarni: ciepłe światło, drewniane stoliki, regały z książkami i ludzi rozmawiających nad filiżankami. Tak bezpiecznie. Tak cholernie normalnie.

I wtedy go zobaczyła. Siedział w rogu, dokładnie tam, gdzie się umówili. Widziała tylko jego profil. Wyprostowany przeglądał coś w telefonie. Miał na sobie białą koszulę i czarne spodnie. Maja poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Oddech stał się krótki, świszczący. To

nie był strach przed nieudaną randką, lecz czysty, pierwotny lęk przed śmiercią. Bo choć widziała tylko jego profil, jej ciało już wiedziało. Ten sam kąt nachylenia głowy. Ten sam sposób, w jaki mrużył oczy, patrząc na ekran. Chciała uciec, ale zamiast tego zrobiła coś, czego kompletnie nie rozumiała. Pchnęła drzwi. Dzwoneczek nad wejściem oznajmił jej przybycie. W uszach Mai zabrzmiał jak wyrok śmierci.

Zaparkował Punto w pobliżu Neptuna, wysiadł i zapalił papierosa. Gdy przed momentem przejeżdżał przez bulwar, dostrzegł dawno niewidzianego złodzieja. Balcerzak z łamania siódmego przykazania zrobił sobie sposób na życie. Grot osobiście zatrzymywał go chyba już z sześć razy. Ostatni przeszło osiem miesięcy temu, gdy mężczyzna ukradł rower spod Biedronki przy Transportowej. Kamery monitoringu uchwyciły moment kradzieży i Balcerzak wpadł już po kwadransie od dokonania czynu zabronionego. Trafił do więzienia, więc komisarz był zaskoczony, widząc go teraz na wolności; recydywistom raczej nie skracano wyroku. Postanowił to sprawdzić i ruszył w kierunku Neptuna.

Po chwili znów zauważył Balcerzaka. Złodziej stał z dwoma bezdomnymi przy wózku ze starą pralką.

– O, pan komisarz – rzucił na widok Grota. – Jakby co, nie robię nic złego. Z ziomkami bajerę skutecznie.

– Nie twierdzą, że robisz coś złego, choć uważam, że warto to sprawdzić. Powiedz mi, jak to się stało, że znalazłeś się na wolce? – spytał policjant, pstrykając niedopalkiem.

- Normalnie. Wypuścili mnie.
- Pewnie za dobre sprawowanie?
- Nie. Pogrzeb mam w rodzinie, a że za kratami nie cwaniaczę, to wychówek dał przepustkę.

Grot przez chwilę przyglądał się recydywiście. Nie miał podstaw, by mu nie wierzyć.

- To lepiej nie zrób żadnej głupoty, bo nie chce mi się za tobą ganiać.

Ruszył dalej, spoglądając na budynek, w którym mieścił się Neptun. Pamiętał, jak wyglądało to miejsce jeszcze kilka lat temu. Pustostan straszyl samym swoim widokiem. Koczowali w nim bezdomni, młodzież spotykała się na libacje alkoholowe. Pięć lat temu właśnie w tej okolicy Grot prowadził śledztwo dotyczące grupowego gwałtu na nastolatce i próby jej zamordowania. Iwona Skrzypek poszła z koleżankami na piwo do Fuego. Wszystkie dobrze się bawiły, alkohol lał się strumieniami. W pewnym momencie dziewczyna postanowiła przejść się na bulwar z nowo poznanym mężczyzną. Dotarli do Neptuna i właśnie tu doszło do tragedii. Zza budynku wyszli kumple faceta i powalili ją na ziemię. Gwałcili ją na zmianę przez ponad dwie godziny. W końcu zostawili dziewczynę, przekonani, że nie żyje, bo wcześniej została przez kogoś uderzona kamieniem w głowę. Miejski monitoring zarejestrował, jak gwałciciele wsiadają do dwóch aut na nowosolskich tablicach rejestracyjnych. Policjanci z komendy w Nowej Soli wyłapali ich jednego po drugim. Cała grupa była im zresztą doskonale znana. Grot pamiętał, że żaden ze sprawców nie wykazał skruchy, mało tego – potrafili żartować z tego, czego się dopuścili.

Odkąd wyremontowano budynek, policja nie miała tu już wiele do roboty.

Zanim podeszła do stolika, zatrzymała się przy kontuarze. Przez chwilę udawała, że studiuje leżące na blacie menu. Potrzebowała kilku sekund. Były jej niezbędne, by uspokoić serce, które próbowało przebić się przez klatkę piersiową.

– Pomóc pani w czymś? – zapytał młody barista z kółczykiem w nosie, z różowymi włosami i ze znudzonym wzrokiem.

Czuła, że ten mężczyzna jest bardzo niebezpieczny. Tak jak każdy ze zgromadzonych w lokalu ludzi.

– Nie, ja... Czekam na kogoś – wychrypiała. Jej głos brzmiał, jakby od lat nie używała strun głosowych.

Spojrzała na swoje dłonie oparte o blat. Były sine. Odruchowo schowała je do kieszeni.

W kawiarni pachniało mieloną kawą i ciastem z nutą wanilii, ale dla Mai ten zapach był mdły. Przebijają się przez niego inna woń. Ta ze snu. Zapach mokrego betonu.

Czy to możliwe, żeby mózg płatał jej aż takie figle? Czy trauma po Kamilu mogła stworzyć tak potężną halucynację zapachową? Czuła, że popada w paranoję i zaraz zrobi coś, czego nie powinna robić. Odwróciła się powoli w stronę stolika w rogu. Artur chyba poczuł jej wzrok, bo uniósł głowę. Ich spojrzenia się spotkały. To była ta sekunda. Ta nieskończenie długa chwila, w której czas zwalnia do tempa kapiącej smoły. Mężczyzna się uśmiechnął. Miał nieprawdopodobnie ciepły i zapraszający uśmiech.

Podniósł się z krzesła, prezentując sylwetkę przeciętnego zadbanego trzydziestoparolatka.

– Maja?

Jego głos był dokładnie taki, jak go sobie wyobrażała. Miękki, niski, kojący. Głos, któremu chce się zaufać. Ale ona знаła prawdę. Poczula, jak nogi się pod nią uginają. Zrobiła krok w jego stronę, potem drugi. Każdy mięsień w jej ciele krzyczał: „Uciekaj!”. Instynkt, który pozwolił jej przetrwać noc w wannie, teraz wył jak alarm najwyższego stopnia. Gdy podeszła bliżej, Artur wyciągnął do niej rękę w geście powitania.

– Miło cię w końcu zobaczyć na żywo. Usiądziesz? – spytał zachęcająco.

Spojrzała na jego rękę. Była duża, o grubych palcach i krótko przyciętych, czystych paznokciach. Ale ona nie widziała czystej dłoni. Widziała te palce zaciśnięte na szyi brunetki. Widziała białe kostki i siłę, z jaką te dłonie zamieniały życie w nicość. Wtedy zauważyła pod mankietem koszuli – gdy Artur nieco uniół ramię, by wskazać jej krzesło – kawałek ciemnego tuszu. Mały czarny zarys, który chował się pod tkaniną przy każdym jego ruchu. Zaparło jej dech w piersi. Świat wokół zaczął wirować. Twarze innych gości stały się rozmytymi plamami, a głośny dźwięk rozmów zmienił się w jednostajny wysoki pisk.

– Wszystko w porządku? – zapytał Artur, a w jego głosie pojawiła się nuta troski, która sprawiła, że Maja miała ochotę zwymiotować na męskie, lśniące buty. – Blado wyglądasz. Może zamówię ci herbatę z cukrem?

Nie odpowiedziała. Patrzyła na jego nadgarstek, modląc się w duchu, by to, co widzi, było tylko wytworem

chorej wyobraźni. Żeby to była tylko plama, cień, cokolwiek innego niż to, co widziała w tamtej piwnicy. Artur zauważył, dokąd ucieka jej wzrok. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, ale tym razem w tym uśmiechu pojawiło się coś, co sprawiło, że krew płynąca w żyłach Mai zamieniła się w lód. Delikatnie przesunął palcami po mankiecie, jakby chciał go poprawić, ale zrobił to tak, że na ułamek sekundy materiał odsłonił skórę. Pęknięte ogniwo łańcucha. Czarne. Wyraźne. Realne. A więc sen nie był tylko koszmarem. To ostrzeżenie, które Maja zignorowała.

Grot zatrzymał się jeszcze na chwilę przed Neptunem, patrząc na odnowioną elewację. Zupełnie nie pasowała do tego, co pamiętał. Miejsce, które kiedyś było niczym otwarta rana miasta, teraz wyglądało jak zamknięty rozdział. Tyle że dla niego nic się nie zamykało tak łatwo. Odrzucił niedopalek i zawrócił. Balcerzak wciąż stał przy wózku z pralką, gestykulując do swoich towarzyszy. Jeden z bezdomnych śmiał się głośno, drugi grzebał w kieszeni kurtki, jakby czegoś szukał bez większej nadziei. Komisarz podszedł do nich bez pośpiechu.

– Jeszcze raz – powiedział spokojnie, ale twardo. – To jak było z tą przepustką? Kiedy dokładnie wyszedłeś?

Balcerzak wzruszył ramionami, jakby pytanie było zbędne.

– No mówię, panie komisarzu, zwyczajnie. Wczoraj kwity, dziś wolka. Pogrzeb, przepustka, powrót. Procedura.

– Procedura – powtórzył policjant, patrząc mu prosto w oczy. – A kto ci tę przepustkę podpisał?

Balcerzak zawahał się ledwie dostrzegalnie. Ktoś inny mógłby tego nie zauważyć. Ale Grot nie był kimś innym.

– Nie wiem, nazwisko jakieś... wychowek chyba. Nie wnikałem. Zresztą, komisarzu, ja nie jestem od czytania, tylko od innych rzeczy. Jak to kiedyś mawiałem, jestem stworzony do miłości.

– W pierdłu to odkryłeś?

– Panie komisarzu... Do kogo ta mowa?

Wiatr od Odry przyniósł chłód i zapach wilgotnego betonu. Grot przez moment milczał.

– Jak to powiedziałeś? Ty nie wnikasza? – mruknął w końcu.

– No tak. W sumie po co? Jak się wnika, to tylko dyńka boli.

Komisarz odsunął się pół kroku i spojrzał w stronę ulicy. Coś mu tu nie pasowało. Nie sam Balcerzak, on był przewidywalny jak zepsuty zegar. Nie pasował tu system. Zbyt szybka przepustka. Zbyt wygodne wyjście. I to, że zobaczył go tutaj tak szybko po kradzieży roweru.

– Słuchaj. Ostatnio zajebali rower na Perseusza. To twoje?

Balcerzak parsknął śmiechem.

– Panie komisarzu, bez przesady. Myśli pan, że dałbym się złapać na taki lewy tekst? Ja naprawdę jestem czysty i nikt mi niczego nie przyklepie.

Jeden z bezdomnych przytaknął, jakby to była oczywista prawda. Grot jednak nie odwzajemnił uśmiechu.

– Jakoś nie do końca ci wierzę. Naprawdę chciałbym, ale moje doświadczenie mi mówi, że... pierdolisz głupoty.

Wzrok Balcerzaka uciekł w bok, pierwszy raz złodziejasek nie patrzył w oczy policjanta.

– Panie komisarzu, ja wyszedłem na przepustkę. Powiem więcej, nie zamierzam wracać do puchy. Chcę się zmienić i wreszcie mieć spokój. Szczerze mówię, że nie chcę znów w to gównio wchodzić.

Grot zmrużył oczy.

– Ja nie twierdzę, że ty ukradłeś ten rower na Perseusza. Mówię tylko, że ktoś cię wtedy widział.

Balcerzak przełknął ślinę. Grot blefował, ale właśnie zobaczył, że złodziej dał się złapać w pułapkę, bo lekko drżącym głosem powiedział:

– To może ktoś się pomylił.

Policjant skinął głową powoli i się uśmiechnął, po czym ruszył kilka kroków w stronę bulwaru, zostawiając grupkę za plecami. Po chwili jednak zatrzymał się jeszcze raz i nie odwracając głowy, rzucił:

– I jeszcze jedno, jeśli następnym razem wyjdiesz na przepustkę, chcę wiedzieć o tym wcześniej niż ty.

Nie czekał na odpowiedź. Ruszył w stronę miasta, a za jego plecami rozmowa przy wózku z pralką zaczęła się na nowo, jakby nic się nie wydarzyło.

Maja opadła na krzesło, czuła, że jej mięśnie zamieniły się w bezwładną masę. Oparcie było twarde, nieprzyjazne i wrzynało się w łopatki, przypominając, że to wszystko dzieje się naprawdę. Artur usiadł naprzeciwko. Zrobił to powoli, z namaszczeniem, tak jakby celebrował każdą sekundę ich spotkania. Złożył dłonie na blacie i patrzył na kobietę ze spokojem, który był bardziej agresywny niż krzyk.

– Szczerze mówiąc, wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha – powiedział cicho. Jego głos miał barwę ciepłego

miodu, ale dla niej był jak dźwięk przesuwanej płyty nagrobnej. – Czy wszystko na pewno jest w porządku? Może to miejsce ci nie odpowiada? Jest tu dość głośno, a ty sprawiasz wrażenie osoby, która ceni sobie... spokój.

To ostatnie słowo zawisło między nimi jak ciężka, brudna zasłona. Maja próbowała przełknąć ślinę, ale jej gardło było pustynią. Czula, że podkład zaczyna spływać z jej twarzy pod wpływem zimnego potu, który perlił się na czole.

– Ja... przepraszam. To po prostu... ciężki dzień. Naprawdę to tylko ciężki dzień – wykrztusiła, unikając jego wzroku.

Skupiła się na stojącej na stoliku cukiernicy. Małe, białe kryształki cukru lśniły w świetle stojącej obok lampki. Próbowwała liczyć sekundy między uderzeniami serca, by tu nie zemdleć.

– Ciężki dzień. Rozumiem. – Artur pokiwał głową z empatią, która była tak doskonale wyćwiczona, że niemal jadowita. – W dzisiejszych czasach niestety wszyscy jesteśmy mocno przebudźcowani. Aplikacje, praca, wieczny bieg... Czasem mózg po prostu odmawia posłuszeństwa. Zaczynamy widzieć rzeczy, których nie ma, albo co gorsza, interpretować rzeczywistość przez pryzmat naszych... lęków.

Maja gwałtownie podniosła wzrok.

Czy on wiedział? Czy to była aluzja do jej kartoteki medycznej, do jej wariactwa? A może po prostu bawił się nią jak kot półzywą myszą, delektując się faktem, że ona wie, kim on jest, ale nikt jej nie uwierzy? W głowie pojawiały się kolejne pytania.

– Skąd... skąd to porównanie? – zapytała, a głos zdrzął jej niebezpiecznie.

– Intuicja. – Uśmiechnął się, odsłaniając rząd idealnie białych zębów. – Ludzie, którzy przeszli przez coś trudnego, mają specyficzny rodzaj spojrzenia. Takie „tyś się jardów”, jak u żołnierzy. Widzę to w twoich oczach, Maju. Smutek. Ale też strach. Nie musisz się mnie bać. Jestem tutaj, żebyś mogła o tym zapomnieć. Choćby tylko na godzinę.

Sięgnął po kartę menu, a mankiet koszuli znów się przesunął. Ogniwo. Czarne, złowieszcze, pęknięte. Maja poczuła, jak w uszach zaczyna jej szumieć. Obraz piwnicy powrócił z siłą tsunami. W nozdrza wdarł się zapach betonu. Usłyszała bulgotanie kobiety dławiącej się własną krwią.

– Co to za tatuaż? – wyrwało się jej, zanim zdążyła uruchomić cenzurę w mózgu.

Artur zamarł na ułamek sekundy. Jego oczy, dotąd ciepłe, na mikrosekundę stały się zimne jak lód. Potem uśmiech wrócił, ale był już inny. Sztywniejszy.

– To? – Uniósł nadgarstek, prezentując rysunek z niemal beczelną dumą. – Pamiątka z dawnych lat. Symbol wyzwolenia. Pęknięte ogniwo oznacza koniec niewoli. Koniec bycia kimś, kim inni chcą, żebyś był. To bardzo osobiste. Wierzysz, Maju, w drugie szanse? W to, że człowiek może się narodzić na nowo, zostawiając za sobą... krew i brud?

Poczuła, że brakuje jej powietrza. Krew i brud... On to powiedział. Użył tych słów celowo, patrząc jej prosto w źrenice. Czy to na pewno była randka. Nie, to egzekucja na raty.

– Ja... muszę do łazienki – wydukała, gwałtownie odsuwając krzesło.

Drewniane nogi zaskrzypiały o podłogę, przyciągając uwagę kilku osób przy sąsiednich stolikach.

– Oczywiście. Poczekam tutaj – odparł Artur, splatając dłonie. – Tylko nie uciekaj przez okno. Kawa już jedzie.

Komisarz Grot znał ulicę Saturna lepiej, niż chciałby przyznać. W policyjnych raportach to był tylko punkt na mapie, kilka przecinków w statystykach interwencji. W rzeczywistości – żywy organizm, który oddychał własnym rytmem i własnym bezprawiem. Mieszkało tu wielu złodziei i kilkunastu przemocowców. Policyjne interwencje były w tym miejscu na porządku dziennym.

Zjechał z głównej ulicy powoli, uważnie obserwując okolicę. Bloki stały równo, szare i zmęczone, jak szeregi ludzi, którzy dawno przestali o coś walczyć. Między nimi place zabaw, trzepaki, ławki. Miejsca oficjalnie przeznaczone do życia, w praktyce do czekania, aż skończy się dzień. Zatrzymał samochód przy jednym z podwórek. Silnik ucichł, a wraz z nim przyszła cisza, która dla Grota była niczym tortura. Po chwili wszystko wróciło do normy.

Gdy tylko wysiadł, poczuł zapach alkoholu i marihuany. Nie musiał szukać źródła, znajdowało się przed nim. Siedzieli tak, jakby osiedle należało do nich. Pięciu, może sześciu nastolatków siedzących na dwóch ławkach w sposób chaotyczny, ale jednocześnie zaplanowany. Jeden miał nogi na oparciu, drugi rozwalił się

jak król na prowizorycznym tronie. Butelki piwa krążyły między nimi bez pośpiechu. Któryś pakował trawkę do szklanej lufki. Śmiech niósł się zbyt głośno jak na tę porę i to miejsce, ten rodzaj śmiechu, który nie wynika z radości, lecz zagłusza niepewność. Grot kojarzył jednego z nastolatków. Widział go wielokrotnie na komendzie. Chłopak był drobnym złodziejaszkiem, poza tym pomimo młodego wieku miał już na koncie rozbój i próbę gwałtu.

Komisarz bez wahania skierował się w ich stronę. Nie było sensu udawać, że to przypadkowy spacer. Każdy jego krok był dla tych nastolatków komunikatem. Rozmowy przy ławkach zaczęły się rwać, jeszcze zanim się odezwał. Ktoś pierwszy go zauważył, szturchnął łokciem kolekę. Potem kolejny. I jeszcze jeden. Jak domino. Zatrzymał się kilka metrów od nich.

– Co się lampisz? – zapytał chłopak o blond włosach.

– Dokumenty – rzucił krótko Grot.

Przez sekundę nic się nie wydarzyło. Tylko butelka w dłoni któregoś lekko stuknęła o ławkę.

– A kim ty, kurwa, jesteś? Strażnikiem trawnika? – spytał inny, na oko szesnastolatek.

– Chyba strażnikiem Teksasu albo strażnikiem zadupia – rzucił kolejny.

– Policja.

– Serio? – odezwał się w końcu ten sam chłopak co na początku. Starszy od reszty, z twarzą, na której pewność siebie była bardziej pozą niż stanem faktycznym. – Za piwo na ławce?

Komisarz nie odpowiedział od razu. Spojrzał na grupę, potem na butelki, potem znów na niego.

– Za brak rozsądku. Piwo to tylko dodatek.

Kilku chłopaków parsknęło nerwowym śmiechem, jakby nie wiedzieli, czy powinni się śmiać.

– Ty psie, serio myślisz, że my się boimy? – wtrącił inny, młodszy, bardziej impulsywny – Do budy, kundlu!

Grot zrobił krok do przodu. Tylko krok. To jednak wystarczyło, żeby śmiech zaczął milknąć.

– Legitymowanie, chłopaki. Nic więcej – powiedział spokojnie.

– A jak nie? – padło natychmiast.

To jedno słowo zawisło w powietrzu jak zapalona zapalka nad rozlanym paliwem. Starszy chłopak wstał powoli. Zbyt wolno, jakby chciał pokazać, że to on kontroluje tempo.

– Nie będziesz nam mówić, co mamy robić na naszym osiedlu – warknął.

– Waszym? – Grot uniósł lekko brew. – Ciekawe. Miało chyba jeszcze nie zdążyć wam go przepisać w akcie własności. Pokażesz księgę wieczystą?

Krótki wybuch śmiechu natychmiast przerodził się w napięcie. Jeden z chłopaków rzucił coś pod nos, inny kopnął pustą puszkę. Starszy zrobił krok w stronę Grota.

– Spierdalaj, psie. Chyba że chcesz trafić do Amicusa.

Komisarz nie cofnął się ani o centymetr.

– Ostatnia prośba. Dokumenty.

Przez ułamek sekundy można było sądzić, że to się wkrótce samo rozwiąże. Że ktoś ustąpi, ktoś sięgnie do kieszeni, że wróci zwykła, nudna procedura. Ale wtedy jeden z młodszych chłopaków rzucił butelką o ziemię. Szkło pękło z suchym trzaskiem. I to był moment,

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

